

Madonna Ciemności — Figiel

Od autora: Bohaterka tej historii naprawdę nazywała się Enriqueta Martí i Ripollés, a opisane zdarzenia, z wyjątkiem nie mających wpływu na bieg wydarzeń drobiazgów, zaistniały w rzeczywistości. Osoby przywołane w tekście noszą cechy pierwowzorów, natomiast ich nazwiska są fikcyjne.

Myślę, że o ile pewna część mroku jest w każdym z nas, to u większości ludzi jest ona marginalna i uśpiona, nie wpływa nawet na światło dzienne. Niektórzy jednak karmią się ciemnością. O tym jest ta opowieść.

Słoneczne promienie tańczyły wśród konarów drzew i na trotuarach, gdy pewnego lutowego dnia, tysiąc dziewięćset dwunastego roku Marita Pabón niespiesznie przemierzała wąskie uliczki El Raval.

Barcelona, jak żadne miasto świata, upojna winem, pieszcząca zmysły mnogością barw, dźwięków, smaków i zapachów, przesączona erotyzmem, pożądliwa, pełna gorąckrwestych kobiet oraz mężczyzn była miejscem, które w swej mrocznej duszy pożądało Marity, i którego ona potrzebowała tak samo, jak barcelońska elita jej usług.

Nigdy nie miała pobożnej natury. W rodzinnym Sant Feliu de Llobregat, w południowej Katalonii, długo musiała ukrywać swoje prawdziwe oblicze przed wiecznie rozmodloną matką i surowym ojcem, którzy pragnęli uczynić z niej przyzwoitą panienkę, przyszłą matkę gromadki rozkosznych dzieci, a także cnotliwą żonę, choć widzieli, że córka skłania się ku cielesnym uciechom oraz bezbożności, okrywającej hańbą szanowaną rodzinę.

Nie pomogło nawet wysłanie córki do Barcelony na posadę niańki, co w przekonaniu matki miało rozbudzić w dziewczynie łagodność oraz uśpione uczucia macierzyńskie. W Maricie nie pojawił się nawet cień życzliwości dla rozwrzeszczanych, wiecznie usmarkanych bachorów, a całą uwagę poświęciła na doprowadzenie pana domu do odbierającego zmysły pożądania, które w końcu znalazło ujście w niemal zwierzęcym akcie, w biały dzień, na schodach prowadzących na piętro, a odgłosy, które wydawali kochankowie miały jeszcze długo rozbrzmiewać echem w głowie oszalałej z rozpaczyny małżonki.

Od tamtego dnia Marita nigdy więcej nie spojrzała na obraz Madonny Miłosiernej, czule okrywającej płaszczem skupione u jej stóp postacie, wpatrzone z nadzieją i wiarą w zatroskaną twarz Panienki. Ten obraz podarowała jej matka, by strzegł córkę i kierował ku dobroci. Jednak dziewczyna niepomna rodzicielskich nauk ruszyła w zaułki Barcelony, szukając miejsc podobnych swojej naturze: mrocznych, karmiących się złem i przemocą, pełnych zakazanych fantazji i magii wspierającej ludzkie pożądliwości.

Bywała w domach publicznych, gdzie ochoczo świadczyła usługi, nie odmawiając klientom uciech, przed którymi wzdragały się inne ładacznice. Włóczyła po portowych ulicach i złodziejskich spelunkach pełnych indywiduów, obok których nikt choć odrobinę przyzwoity nie chciałby nawet stanąć, spotykała się z kobietami o twarzach wiedźm, szepczącymi jej do ucha przerażające tajemnice. Za dnia ubrana w obszarpane łachmany zebrała po ulicach, kościołach oraz parafiach, czerpiąc radość z oszukiwania istot czułych i wrażliwych, nocą zakładała luksusowe ubrania i kapelusze, pojawiając się w Teatre del Liceu, Casino de la Arrabassada czy innych miejscach, gdzie zbierała się śmietanka towarzyska Barcelony. Doskonale poznała ich pragnienia, wiedziała wszystko o mrocznej stronie ludzkiej natury i umiała to wykorzystać.

Tego słonecznego dnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku, ulicą kroczyła kobieta kusząca dojrzałą uro-

dą, ciemnowłosa, o brwiach wygiętych w łuki na kształt rozłożonych w locie skrzydeł ptaka. Mocno zarysowany podbródek i wąskie usta nadawały jej twarzy co najwyżej wyraz stanowczości. Tego dnia nie założyła łańcuchów, lecz ubrała się skromnie, w szarą gładką suknię z delikatną koronką wokół szyi, a na ramiona narzuciła długi płaszcz z kapturem.

Szła powoli, jakby znudzona brakiem zajęć udała się na zwykłą przechadzkę, choć w rzeczywistości czujnie, niczym łowca tropiący zwierzynę, obserwowała otoczenie. W pewnej chwili przystanęła, uważnie przyglądając się kilkuletniej dziewczynce zapatrzanej w wystawę z łąkociami. Dziecko miało około siedmiu lat i buzię okoloną burzą loków związanych kokardami. Ubrana była w skromną, lecz czystą sukienkę, okrytą jasnym płaszczykiem. Dziewczynka, zajęta wyobrażaniem sobie smaku ciastek i kolorowych cukierków nie zauważyła wysokiej pani, która stanęła obok.

– Jak masz na imię, moje dziecko? – usłyszała i wtedy dopiero podniosła w górę twarzyczkę, a jej wzrok napotkał czuły uśmiech ładnej pani.

– Emelina – odpowiedziała. – Emelina Girón – poprawiła się grzecznie.

– A gdzie twoja mama?

– Tam! – Dziewczynka machnęła ręką w kierunku domu, znajdującego się po drugiej stronie wąskiej uliczki. – Odbiera od krawcowej suknię na urodziny papy. Kazała mi czekać pod bramą, ale ja wolę tu, bo mogę patrzeć na cukierki.

– Lubisz słodkie, Emelino?

– Bardzo! Ale mama mówi, że nie można ich jeść za dużo, bo od tego dzieci robią się niegrzeczne.

– Naprawdę? – Marita udała zdziwienie, a potem nachyliła się do dziewczynki. – Wiesz, Emelino, mieszkam tu, niedaleko, a w domu mam słodkości, ile tylko dusza zapagnie. Dostaniesz je wszystkie i sama zobaczysz, że wciąż będziesz grzeczną dziewczynką. A potem szybko wrócimy, zanim mama skończy mierzyć suknię. Co ty na to? – szeptała gorączkowo, jakby w pośpiechu powierzała dziecku najtajniejszy sekret.

– Naprawdę dostanę cukierków, ile będę chciała? I będę mogła je wszystkie zjeść?

– Oczywiście, choćby naraz! – roześmiała się Marita. – Tylko musimy się pośpieszyć.

– To chodźmy! – Emelina podskoczyła radośnie i wsunęła rękę w dłoń nieznajomej.

– Przytul się do mnie, a ja cię okryję, jest chłodno. – Marita rozchyliła połę płaszcza. Zanim je zamknęła spojrzała na uniesioną do góry twarzyczkę Emeliny przytulonej do jej boku. *Nada się. Jest dobrze odżywiona, ufna i głupia, nie będzie z nią kłopotów* – pomyślała, a potem szybko ruszyła przed siebie.

Korytarz domu numer 29 przy ulicy Ponent był wąski, przesiąknięty dusznym zapachem dawno nie wietrzonych pomieszczeń, stęchlizny i wilgoci. Emelina, ukryta pod połą płaszcza odruchowo skrzywiła nos; w jej domu nigdy tak brzydko nie pachniało.

– Jesteśmy na miejscu. – Marita energicznym ruchem zdjęła nakrycie z dziewczynki. – Czego się krzywisz? – zapytała, a w jej głosie zabrzmiały nieprzyjemne nuty.

– Bo tu brzydko czuć... – Zapach uderzył w nozdrza dziewczynki ze zdwojoną siłą. Emelina potoczyła wzrokiem po ścianach dawno nie malowanych, z odpadającymi płatami złuszczonej farby, bez jednego choćby obrazka, a potem spojrzała na schody prowadzące na piętro – drewniane, stare i brudne, jakby nigdy nie zmywane, ze śladami plam przypominającymi te, które widziała na podłodze w kuchni, gdy kucharka niechcący rozlała gorący tłuszcz. Grymas niesmaku objął już nie tylko zmarszczony nosek, ale też wyginające się w podkówkę usta. – Chodźmy stąd! – powiedziała cicho.

– A cukierki? – przypomniała Marita. – Są na górze, to tylko kilka schodków. No, chodź! – popchnęła dziewczynkę, która z oporem położyła rękę na chybotałej poręczy.

Wspięły się po trzeszczących schodach na piętro. Był tam długi korytarz oświetlony jedynie nikłym światłem samotnej lampy naftowej, a w panującym półmroku Emelina zauważyła kilkoro drzwi. Wszystkie były zamknięte.

– Wejść tu i poczekaj – Marita otworzyła pierwsze z brzegu i wepchnęła dziewczynkę do środka. – Nigdzie nie odchodź i niczego nie dotykaj! – poleciła. – Ja pójdę po tacę z cukierkami.

Emelina została sama. Było ciemno, jak w całym tym dziwnym domu, a na dodatek do brzydkiej woni, tej samej, którą czuła na dole, dołączył jakiś mdlący, nieznany zapach. Zbyt wystraszona, by ciekawie rozglądać się po pokoju, stała w bezruchu wpatrzona w jedyny jaśniejszy od otoczenia punkt – wysokie okno z podpiętymi nisko kotarami, przez które ledwo przesączały się promienie słoneczne, kładące się na meblach pełnymi wirującymi pyłków kurzu smugami. Gdy skrzypnęły drzwi, dziewczynka aż podskoczyła.

Do pokoju weszła Marita, ale nie miała w ręku tacy z kolorowymi słodkościami, lecz duże, ciężkie nożyczki. Na ramieniu niosła naręczę szmat. Emelina cofnęła się pod ścianę i przywarła do niej plecami, patrząc na kobietę wzrokiem spłoszonego zwierzęcia. Nieznany głos, gdzieś wewnątrz niej, dotąd uspio-ny w czułości matki i łagodności ojca, przebudził się i szeptał, że nie będzie żadnych słodyczy, a ta pani wcale nie jest miła. Łzy zaczęły spływać dziewczynce po policzkach, a gdy próbowała je wytrzeć, moczyły mankiet płaszczyka i kapwały na podłogę.

– Przestań się mazać! – Marita skarciła dziecko. – Rozbierz się i załóż to! – Rzuciła dziewczynce pod nogi stertę szmat. Podeszła do Emeliny, odwróciła plecami do siebie, zdjęła płaszczyk i rozpięła guziki sukienki. – Resztę zrobisz sama, no już, nie guzdraj się! – poleciła.

Przyglądała się milczeniu, jak dziewczynka zsuwa z ramion jasną, wełnianą sukienkę wykończoną haftowaną falbanką. Gdy posłusznie sięgnęła po przyniesione ubranie, powstrzymała ją ruchem ręki.

– Bieliznę też. Nie będzie ci potrzebna – rzuciła sucho i powiodła wzrokiem po okrągłych ramionach i pulchnych udach dziecka.

Za chwilę uciechy z taką nimfą bogate barcelońskie byczki zapłaciłyby fortunę – pomyślała, ale szybko odpędziła pokusę powrotu do zajęcia, które jeszcze trzy lata temu przynosiło jej pokaźne zyski. Gdyby nie zamęt Tragicznego Tygodnia, kiedy policja przeczesywała burdele w poszukiwaniu buntowników – ciągnęła w myślach – nigdy nie odkryliby moich małych ladaczników. A jak ci bogacze się za nimi uganiaли!

Wciąż chcieli nowych i młodszych! To przez tych przeklętych buntowników zabrali je wszystkie, od trzyletniej Benity do smukłej, czternastoletniej Mirei, a także chłopców. Dobrze, że wtenczas jeden z gości zabawił się z Manuelem, zamożna rodzina stałego bywalca zamknęła usta komu trzeba... Nie... To, co teraz robię jest o wiele bezpieczniejsze i też nieźle na tym wychodzę. – Wyrwała się z rozmyślań i spojrzała na Emelinę: dziecko stało w bezruchu, ze skrzyżowanymi rękoma i dłońmi złożonymi na ramionach, które podnosiły się i opadały w rytm bezgłośnych spazmów.

– Dobrze. – Skinęła głową, widząc, że dziewczynka bez protestów założyła starą sukienkę Mirei, zbyt długą, opadającą niezgrabnymi fałdami na podłogę.

Podeszła do lampy stojącej na małym stoliku, zdjęła szklaną osłonę i zapaliła knot. Gdy ją ponownie nałożyła, płomień wzmocniony przez okrągłe lustro rozjaśnił pokój bladym światłem.

Pomieszczenie w niczym nie przypominało wygodnego salonu, czy choćby skromnego pokoju gościnnego. Stał tam wyszorowany do białości stół z samotnym krzesłem, a ściany zabudowano sięgającymi od podłogi do sufitu drewnianymi szafkami, zamykanymi na klucz. Na prawo od wejścia, znajdowały się wąskie drzwi.

Marita sięgnęła po krzesło, postawiła na środku pokoju i przywołała dziewczynkę. Gdy podeszła, kazała jej usiąść.

– Posłuchaj, co ci powiem! – Wbiła w Emelinę zimny wzrok, bez cienia współczucia czy zrozumienia. – Od dziś nie jesteś Emeliną. Masz na imię Felicidad, a ja jestem twoją mamą. Tak powiesz każdemu, kto cię zapyta.

– Ale ja... jestem Emelina... i mam swoją mamę – wyjąkała cicho dziewczynka.

– Milcz i rób co każę! Będziesz mieszkać w pokoju obok. – Ruchem głowy wskazała drzwi po prawej stronie. – Pamiętaj, ilekroć cię przywołam, masz przyjść prosto do mnie. Nie wolno ci podchodzić do balkonów i okien. Jeżeli to zrobisz, nie dostaniesz jeść tak długo, aż zmądrzejesz. Rozumiesz?

Emelina w milczeniu skinęła głową.

– Dobrze. A teraz, moja Felicidad, obetnę ci włosy. – Sięgnęła ręką kokard, by je rozwiązać, ale dziewczynka szarpnęła całym ciałem do tyłu.

– Nie! – pisnęła cichutko Emelina. – Nie jestem chłopcem!

– Nie bądź głupia! – zirytowała się Marita i wymierzyła dziewczynce policzek. – One tobie na nic, a mnie są potrzebne. Pamiętaj, co mówiłam o jedzeniu, Felicidad? – Wzięła nożyczki i zbliżyła do loków, a potem systematycznie zaczęła ciąć lśniące pasma, tuż przy samej skórze.

Ale mała Emelina nie słyszała szczękających ostrzy, ani nie widziała rosnącej u swoich stóp kupki włosów, które matka z taką starannością czesała co wieczór. Dziewczynka zapadła się gdzieś, głęboko w siebie, a gdy Marita skończyła i kazała jej wstać, bez słowa wyprostowała kolana. Pozwoliła zaprowadzić się do wąskich drzwi, a potem została wepchnięta do ciemnego pomieszczenia. Z odrętwienia wyrwał ją zgrzyt klucza w zamku.

– Kim jesteś? – szepnął mrok.

Emelina struchlała, nie wiedząc skąd dochodzi głos. Milczała. Dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczyła dziewczynkę, na oko równą jej wiekiem, siedzącą w kącie, na barłogu ze szmat.

– A ty? – zapytała ostrożnie.

– Ja jestem Angelita. Tobie też ścięła włosy? Zawsze je ścina... Tylko Pepito mógł mieć, ale to chłopiec...

– To wasza mama? – zapytała Emelina kucając obok dziewczynki.

– Tak mówi, ale to nieprawda. Mamy są dobre, a ona nie jest. Biła cię?

– Raz.

– Mnie bije często. Za wszystko, a najbardziej gdy płaczę, bo jestem głodna. Potem daje czerstwy chleb i ziemniaki, nigdy nic innego. Pepito czasem oddawał mi swoje...

– Pepito? Kto to? Jest tu z tobą?

– Nie, jest tam! – Angelita wskazała palcem sufit.

– Na piętrze? Przyjdzie do nas?

– Nie. Nie może... Jest w Niebie. Ona go zabiła.

– Kłamiesz!

– Nie kłamię... Ja... ja to widziałam! – Angelita objęła kolana, potem kołysząc się w przód i w tył zaczęła mówić urywanym głosem:

– Dwie noce temu przyszła tutaj... obudziła Pepita i kazała iść ze sobą... Byli... w pokoju obok.... Pepito strasznie krzyczał, myślałam, że go bije... A potem nagle przestał.... Długo było cicho, więc... więc myślałam, że już sobie poszła. Podkrađłam się do drzwi i uchylłam je. Ale wciąż tam była... – Angelitą wstrząsnął dreszcz, lecz mówiła dalej. – Stała przy stole, a na nim leżał Pepito, nie ruszał się. Ona... kroila go wielkim nożem... Widziałam odciętą rękę, w misce, na podłodze... Wszędzie była krew... Zamknęłam cichutko drzwi i pobiegłam na posłanie... Nakryłam głowę kocem i udawałam, że śpię... Rano nic już tam nie było, tylko plamy na podłodze i w całym domu śmierdziało, jakby coś się spaliło. A może... może to wszystko mi się przyśniło?

Emelina w milczeniu skuliła się na posłaniu. Podciągnęła nogi pod brodę i szklistym wzrokiem patrzyła w ciemność. Nie czuła nawet strużki ciepłego moczu wsiąkającego w wypełniony słomą materac.

– Znowu zginęło jakieś dziecko. – José Torres przy śniadaniu przekazał żonie najnowsze wieści z miasta.

– Szukają go od dwóch tygodni i nic.

– Tyle bezdomnych dzieciaków włóczy się po ulicach El Raval – westchnęła Lucinda i podała mężowi posiłek. – Nie sposób ich zliczyć, co i rusz któreś znika. Pewnie, biedactwo, umarło z głodu.

– Ludzie mówią, że to córka Álvaro Girón.

– Tego sklepikarza?! Święta Madonno! – Lucinda wyrzuciła obie ręce do góry. – Taka szanowana rodzina! Znam panią Girón, jest bardzo uprzejma... Straszne, straszne nieszczęście... Będę się modlić do Świętej Panienki o szczęśliwy powrót tego dziecka. Takie nieszczęście!

Gdy mąż wyszedł, Lucinda udała na górę, do sypialni, gdzie zapaliwszy świece przed obrazem Madonny Miłosiernej padła na kolana i żarliwie błagała o opiekę nad zaginioną dziewczynką, a także siłę dla pani Girón.

Gdy skończyła, podeszła do okna, by rozsunąć kotary. Nie zrobiła tego rano, bo José wychodził dziś wcześniej niż zwykle, więc tylko narzuciła suknię i pobiegła do kuchni, by na czas przygotować posiłek.

Teraz ujęła w dłonie ciężki materiał, z rozmachem rozsunała na boki i starannie podpięła po obu stronach okna. Rzuciła okiem na znajomy widok kamienic ulicy Ponent, ale tym razem zobaczyła coś, co przykuło jej uwagę. W jednym z okien stało dziecko z ogoloną głową. *Pewnie kolejna ofiara tyfusu* – pomyślała. – *A co, jeśli Antonietta bawiła się z nim? Mogła się przecież zarazić!* – Przestraszyła się i głośno zawołała swoją ośmioletnią córkę.

Dziewczynka pojawiła się natychmiast i niepewnie wsunęła do sypialni matki.

– Mamo?

– Podejdź tu, kochanie. – Lucinda szerokim gestem zachęciła córkę, a potem wzięła ją na ręce. – Widzisz tamto okno i stojące w nim dziecko? Na wprost, na piętrze.

– Tak, mamo.

– Znasz je? Bawiłaś się z nim?

– Nie, mamo. Nigdy go tu nie widziałam.

Lucinda postawiła córkę na podłodze i w zamyśleniu gładziła po głowie.

– Dobrze. A teraz posłuchaj, Antonietto: ubierz się szybko i pójdziemy na spacer. Po drodze mamy coś do załatwienia. Pospiesz się, moje dziecko!

Huk, straszny huk wstrząsnął drzwiami. Razem z nim pojawiły się głosy.

Emelina z Angelitą skuliły się w kącie i objęły ramionami. Oczy miały suche, szeroko otwarte, pełne strachu. Wiedziały, że cokolwiek czeka jedną z nich lub obie, nie będzie to nic dobrego.

Drzwi z trzaskiem wpadły do środka, wzbijając tuman kurzu. Tuż za nim pojawiły się ciemne postacie oraz jedna, ubrana na jasno, która wysunęła się naprzód i przyklękła na kolano. Dziewczynki mocniej

wtulili się w siebie. Mężczyzna w kremowym płaszczu patrzył na nie wzrokiem pełnym współczucia.

– Nie bójcie się – powiedział łagodnie. – Przyszliśmy wam pomóc. Jak się nazywacie?

– Jestem Felicidad – powiedziała cicho Emelina. – A to moja siostra Angelita.

– A nazwisko? Znasz swoje nazwisko?

– Girón – wyszeptała Emelina. Nie umiała kłamać.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Zabierzcie dziewczynki do komisariatu – polecił stojącym w korytarzu mundurowym, a gdy weszli do pokoju, złapał jednego z nich za ramię i przyciągnął do siebie. – Nieście je na rękach tak, by zdołały jak najmniej dostrzec... Dość już wycierpiały – powiedział cicho.

Policjant w milczeniu skinął głową.

Sędzia Benito Suárez miał swoje lata i wiele widział w życiu, ale to, co zobaczył w mieszkaniu Marity napawało go nie tylko obrzydzeniem ale i autentycznym strachem. Wiedział, że do końca swoich dni nie zapomni widoków z ulicy Ponent i kilku innych mieszkań wynajmowanych przez panią Pabón na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat.

W czasie inspekcji przy ulicy Ponent znaleziono nóż do trybowania kości i kilka worków pełnych zakrwawionej, dziecięcej odzieży. Natrafiono na trzydzieści ludzkich kości, sądząc z rozmiaru, należących do dzieci od niemowlęcia do lat dziewięciu. Część z nich była wystawiono na działanie ognia, ale nie spłonęły doszczętnie. W pozostałych mieszkaniach ukryte ściany i fałszywe sufity skrywały ludzkie szczątki: kości, włosy paznokcie i czaszki w ilości budzącej grozę. Część z nich była schowana również wśród książek i w wazonach.

Na biurku, przed Suárezem leżała stara książka w skórzanej oprawie, pełna tajemnych przepisów na różnorakie mikstury, uzupełniona kaligraficznymi notatkami. Składnikami niektórych receptur były dziecięce narządy, kości, włosy i tłuszcz wytopiony z tkanek.

W jednym z ukrytych pomieszczeń znaleziono pięćdziesiąt dzbanków i słoików z zachowanymi organami, zastygłym tłuszczem, krwią, włosami, sproszkowanymi kośćmi oraz niezliczoną ilość butelek z eliksirami, maściami i balsamami przygotowanymi do sprzedaży. Była też lista nazwisk najznamienitszych rodzin w Barcelonie oraz korespondencja, w której arystokracja składała zamówienia na mikstury leczące gruźlicę, choroby weneryczne lub maści i balsamy służące zachowaniu ciała w młodości.

Wszystko to potwierdzało słowa Marity Pabón, która przyznała, że jest uzdrowicielką, najlepszą w swoim fachu, i wie, jak zrobić z dziecięcego surowca środki zaradcze na wszelkiego rodzaju choroby, ale nie przyznała się do zabicia żadnego dziecka. Nie ukrywała, że odbiorcami jej specyfików byli arystokraci i choć nie wymieniła nikogo, nazwiska z listy mówiły same za siebie, a niektórych mian rodowych nie wypadało nawet wymawiać bez czci należnej najwyższemu urodzeniu. Byli tam również znani politycy, bankierzy, lekarze i adwokaci.

Marita Pabón utrzymywała, że Angelitę i Emelinę przygarnęła z dobrego serca, gdy pozbawione opieki dziewczynki włóczyły się po zaułkach EL Raval. Pragnęła je wychować jak własne córki i tym samym uchronić od niebezpieczeństw, czyhających na niewinne duszyczki w dzielnicy pełnej biedy i wyuzdania. W rzeczywistości, jak ustalono, Angelita była córką Marii Olivárez, kobiety, której Marita asystowała przy porodzie i wmówiła, że urodziła martwe dziecko.

Benito Suárez w duchu zgadzał się z otrzymanymi instrukcjami: publiczne prowadzenie tej sprawy niechybnie spowodowałoby rozruchy społeczne, przy których zdarzenia Tragicznego Tygodnia wydawać się mogły niewinną igraszką. Lud na pewno zażąda dla Marity kary publicznej garoty i on, jako sędzia, będzie musiał się do tego przychylić.

Jednak – rozmyślał – nie uda się uchronić przed udziałem w procesie wszystkich tych znamienitych nazwisk, które przez swoje świadectwo mogą okryć hańbą nie tylko siebie, ale i przyszłe pokolenia. Groziłoby to niewyobrażalnymi konsekwencjami, również dla państwa. Zatem, rozpoczęcie procesu należy odroczyć, aż sprawa przycichnie i w tym czasie przekonać lud, że wszyscy klienci uzdrowicielki zostali przez nią podle oszukani. Tym zajmą się redaktorzy dzienników. A tymczasem, pani Pabón zostanie odesłana do więzienia Reina Amalia pod zarzutem porwania małej Emeliny Girón i Angelity Olivárez.

Tak postanowiono.

Dwunastego maja tysiąc dziewięćset trzynastego roku prasa doniosła, że Maritę Pabón znaleziono martwą na jednym z dziedzińców więzienia. Przyczyną śmierci była długa, wyniszczająca choroba. Radosna nowina lotem błyskawicy obiegła Barcelonę.

W zaciszu gabinetu sędziego Suárez raz jeszcze przeczytał tajną notatkę, którą z samego rana wręczył mu zaufany kurier. Lekarz więzienny donosił, że na ciele zmarłej znalazł liczne ślady pobicia, które okazały się śmiertelne. Straże – i on sam – podejrzewają, że dokonali tego współwięźniowie. Dotychczas nie rozpoczęto szukania winnych.

Suárez przez chwilę niezdecydowanie obracał w ręku papier zapisany pochyłym pismem. Po chwili sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyjął srebrne, płaskie etui. Wyłuskał z niego papierosa, włożył do ust, a potem przypalił. Zbliżył płonącą zapałkę do rogu notatki i patrzył, jak ogień trawi papier. Gdy zaczął go parzyć w palce, wrzucił resztki do popielnicy, czekając, aż zmienia się w popiół.

Sięgnął po kapelusz i wyszedł na ulicę. Nad Barceloną znów świeciło słońce.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 22.05.2015 16:37

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.